

W. WŁADIMIROW.

## Wykradzenie więźniów z Pawiaka.

(1. Przygotowania. 2. Wydanie rozkazów. 3. Przed Pawiakiem. 4. Na Pawiaku. 5. W kancelarii więzienia. 6. Nieszczęśliwy skazaniec. 7. Piekło niepewności. 8. Porwanie więźniów. 9. Ucieczka. 10. W karetce więziennej. 11. Ocalenie. 12. Zakucie więźniów).

## I. Przewstępne przygotowania.

W roku 1906 z więzienia śledczego na Pawiaku w Warszawie wykradzono 10 więźniów.

Zrobione to było w tak wyjątkowych i szczególnych warunkach, bez naruszenia zamków, łamania drzwi, bez jakiegokolwiek przemocy nad administracją więzienną, że trudno nie podziwiać śmiałości, pomysłowości i precyzji w wykonaniu zamierzonego planu. Ze względu na szczegóły, ucieczka ta wydaje się podobna do jakiejś bajecznej epopei, której bohaterowie zwalczają wszelkie przeszkody, przenikają grube mury więzienne, przerywają zaczarowane kłogi i ratują umęczonych ludzi. Wszystko uchodzi im bezkarnie, jakby posiadali w ręku tajemniczy talizman. Tak i w tej „bajce rzeczywistości...“ Dziesięciu uwiezionym wręczono akt oskarżenia, według artykułu 279, grożącego karą śmierci. I oto zjawia się garstka ludzi, obdarzonych talizmanem męstwa i niewzruszoną stanowczością „zwyciężyć lub umrzeć“. Widziałem się z tym rzekomym rotmistrzem żandarmskim Budbergiem, który wyprowadził z więzienia skazańców. Przyszedł on z zupełną swobodą do mego hotelowego numeru i długo ze mną rozmawiał, obszernie opowiadając o najdrobniejszych szczegółach ucieczki. Jest to młody jeszcze mężczyzna, nie liczący więcej niż 32—34 lat, wysoki, pięknie zbudowany. Jego otwarta, wytworna fizjonomia, łagodne, dobre oczy, odrazu dobrze do niego usposabiają. Cała figura nie zdradza wielkiej siły fizycznej. Jest smukły, giętki i zapewne zręczny, lecz nie silny. Bardzo inteligentny i rozwinięty umysłowo. Mowa jego sprawia równie dodatnie wrażenie, jak i on sam. Mówił łagodnym, serdecznie brzmiącym głosem, bez cienia jakiegokolwiek pozy, ze zbytnią nawet skromnością, gdy mówił o sobie. Tak naturalnie przedstawił on obraz ucieczki, z rozważną zatrzymując się na niektórych okolicznościach, zmuszających do ostrożności, lub budzących niebezpieczeństwo, składając tem dowody wielkiej spostrzegawczości i bacności na wszelkie drobiazgi, z którym trzeba było się liczyć, przy współrzednem zachowaniu zupełnego spokoju i obojętności na niebezpieczeństwo.

Widząc go tak spokojnie siedzącego w moim numerze i opowiadającego z prostotą epicką o tem, co było — mimowoli pomyślałem: czyżby istotnie po wykonaniu swego planu — mógł on również spokojnie mieszkać w dalszym ciągu w mieście, jak teraz — z zupełną abnegacją niebezpieczeństwa, gdy siedział naprzeciw mnie przy stole? A może też znikł on na czas pewien gdzieś zagranicą, żeby go na razie nie poznano, chociażby przy wypadkowym spotkaniu któregoś z oficerami więziennymi, którzy widzieli go, gdy spełniał „na Pawiaku“ swoją „czynność żandarmską“. Zapytałem go o to i otrzymałem następującą odpowiedź:

— Nie, nie wyjeżdżałem z miasta i nie zmieniając trybu życia, wychodziłem, jak dawniej, na ulicę, spacerowałem, spotykałem się ze swymi znajomymi, przyjaciółmi... Pewnego razu, niedługo nawet po dokonanej fackie, spotkałem się wypadkowo z nadzorcą więzienia, który wydał owych więźniów politycznych. Jechałem tramwajem... nagle tuż obok mnie usiadł nadzorca. Spojrzałem na niego, on również mnie obejrzał. W pierwszej chwili wydało mi się, że poznał mnie; sytuacja stała się drażliwą: lada chwila mógł zrobić alarm, krzyknąć na patrol i oddać mnie w ręce administracji; lecz widocznie, nie starczyło mu determinacji. W spojrzeniu jego zdołałem pochwycić jakieś pomieszczenie, obawę i pewne wahanie, a następnie, prawie nagle i demonstracyjnie wyskoczył on z tramwaju, ja zaś pojechałem dalej.

Rzekomy baron Budberg — tem nazwiskiem będę go nazywał — był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej, tak zwanej P. P. S.

Ucieczka, którą opisuję, była przygotowana przez tę właśnie partię i prócz „barona“, brało w niej udział jeszcze sześciu „policjantów“, z których jeden był „starszym“. Prócz tego zorganizowana jeszcze była rezerwa z kilku ludzi. Obowiązkiem jej było zabrać 17 rewolwerów, pozostawionych w karetce więziennej, a których partya nie chciała zostawić w rękach policji. Przy wyborze osób, którym zamierzano dać wolność, partya kierowała się

jedynie wysokością kary, grożącej uwiezionym: pozostawiała ona zupełnie na stronie względy partyjne i nie zwracała uwagi, czy więzień należał do ich partji, czy też do jakiej innej. Mając to na względzie, Polska partya socjalistyczna zebrała uprzednio dokładne wiadomości, komu ze znajdujących się w więzieniu śledczym grozi kara śmierci; następnie postarano się wyjaśnić, kto z tej kategorii uwiezionych najbardziej jest beznadziejnym, z mocy jawnych przeciwko niemu poszlak, oraz kto najbardziej jest nienawistny dla administracji.

Otrzymałszy w ten sposób ostateczną listę podświadnych, którzy nie mogli uniknąć śmierci — partya postanowiła ich ocalić. Odnośnie do jednego z tych dziesięciu decyzyja zapadła w ostatniej chwili.

Przed ułożeniem odezwęj urzędowej od warszawskiego oberpolicmajstra do naczelnika więzienia śledczego, niespodzianie otrzymano wiadomość, że według aktu oskarżenia, wręzonego jednemu z dziesięciu, zamiast kary śmierci projektuje się inna kara, wtedy gdy drugiemu więźniowi p. M. zupełnie nieoczekiwanie wręczono akt oskarżenia tego samego dnia, grożący śmiercią — oskarżenia zupełnie nieuzasadnionego.

Nikt z adwokatów, ani też sam M., nieoczekiwał tego.

Z tem wszystkiem, polska partya socjalistyczna postanowiła i jego ocalić i włączyć do listy osób, które miano uwolnić.

Trzeba zauważyć, że partya uważała za lepsze nie uprzedzać o tem więźniów, iż w czasie oznaczonym zjawia się w więzieniu ich zbawcy: bała się ona że ktokolwiek z nich może ujawnić zbyt wczesne wzruszenie, nie potrafiąc zapanować, nad radością i popełni jakąś nieostrożność.

Niewłaściwe spojrzenie, uśmiech, ożywiony wyraz twarzy, szybkość ruchów — wszystko to mogło zdradzić, zniweczyć całe to ryzykowne przedsięwzięcie i dlatego postanowiono utrzymać wszystko w tajemnicy i nie uświadamiać uwiezionych towarzyszy.

Oprócz rzekomego żandarma Budberga, udało mi się zobaczyć i poznać się z jednym z pseudo-policjantów, który miał wyznaczoną bardzo ważną rolę.

Z jego opowiadania wyniosłem przeświadczenie, że musieli się oni porządnie napracować, zanim mogli przystąpić do akcji.

Przedtem odbyli oni liczne próby, różne reperytycje i dzięki temu osiągnęli zdumiewającą karność. Role każdej osoby były ściśle określone, i każdemu wskazane, i każdy mógł je wybornie odegrać.

## II. Wydanie rozkazów.

O godzinie 1 ej po północy zatelefonował do więzienia śledczego niby to oberpolicmajster m. Warszawy — Meyer i wezwał dyżurnego urzędnika.

Do telefonu podszedł pomocnik naczelnika więzienia, znajdujący się w owym czasie na dyżurze.

Przyłożywszy trąbkę do ucha, poznał on odrazu głos oberpolicmajstra; Mejer mówił jakoś nadzwyczaj wolno, metodycznie, równym, przyciszonym głosem z nieznacznym akcentem.

Pomocnik naczelnika więzienia znał dobrze manierę oberpolicmajstra, i dlatego zapewne zawsze mógł głos jego odróżnić od setki innych.

Gdy ten głos wyższego zwierzchnika ozwał się w trąbkę telefonu — „dyżurny“ w więzieniu zamienił się cały w słuch, notując w pamięci każde słowo z tego, co było mówione. Pseudo-policmajster polecił mu wziąć fonogram i zapisać jego rozporządzenie, żeby nie było jakiegokolwiek nieporozumienia. Dyżurny spełnił to polecenie.

Mniemany naczelnik policji rozkazał mu natychmiast przygotować wszystko, co było koniecznym dla wyprawienia dziesięciu więźniów z więzienia śledczego „na Pawiaku“ do 10 pawilonu cytadeli warszawskiej ze szczegółowym wymienniem ich imion i nazwisk. Zarazem żądał, żeby wyprawiono ich w karetce więziennej, ponieważ karety policyjne wszystkie były zajęte i prosił przyspieszyć niezbędne przygotowania, gdyż za kwadrans przyjedzie do więzienia oficer żandarmski z konwojem, którego zatrzymywać w żadnym razie nie można.

Wydawszy to rozporządzenie, rzekomy oberpolicmajster zażądał, żeby „dyżurny“ odczytał to, co było przez niego zapisane, dla sprawdzenia, czy nie zasłża jaka omyłka co do nazwisk, poczem, gdy się przekonał, że wszystko w porządku, telefon zamknął.

Dyżurny w więzieniu wydał natychmiast niezbędne rozporządzenia. Osobista prośba policmajstra: „działać spieszenie“, sprawiła swój skutek, zaczął

też gorączkowo wydawać rozkazy dozorcóm, żeby obudzili więźniów i przygotowali ich do natychmiastowego wyjazdu, sam zaś usiadł przy biurku, celem przygotowania osobistych dokumentów więźniów dla wręczenia oczekivanemu rotmistrzowi żandarmów.

W tej chwili przypomniał sobie, że nie dał jeszcze rozporządzenia woźnicy, żeby ten zaprzęgał konie i prędzej zjechał z kareta więzienną.

Wiele trudu kosztowało rozbudzenie wśród głuchej nocy dozorców i woźnicy. Po chwilowym zamieszaniu i bieganinie wszystko niebawem się uspokoiło...

Każdy spieszył wykonać otrzymane rozkazy i po upływie pewnego czasu w więzieniu zapanaowała cisza.

## III. Przed Pawiakiem.

Więzienie pogrążone było we śnie głębokim. Z pośród nocnej mgły ponuro występowały ogromne mury więzienne, podobne do olbrzymich głazów kamiennych. Ciszy martwej i spokoju nic nie przerywało, niekiedy tylko dołatywały echa miarowych kroków sztyldwacha, chodzącego koło murów więziennych, a nadto połyskujące w szybach niktłe światła mówiły wypadkowym przechodniom, że tak się tam życie, okropne życie ciągłego oczekiwania kaźni...

Martwy spokój szedł do samych gmachów więziennych w tę noc ciemną.

Spał mocno i odzwierny przy bramie i nie słyszał, gdy o drugiej godzinie w nocy zajeżdżały przed więzienie dwa powozy, z których wyszli rotmistrz żandarmeryi i sześciu policyantów.

Oficer i starszy policyant, podszedłszy do furty, zapukali do małego okienka.

Długo nie było żadnej odpowiedzi: w końcu, po silniejszych uderzeniach, otwarło się okienko, w którym ukazała się głowa rozespanego odzwiernego.

Starszy policyant krzyknął opryskliwie na niego: — Cóż to, nie widzisz? Przyjechał pan rotmistrz żandarmeryi!...

Rozpoznawszy uniform oficerski i kilku policyantów, odzwierny pospiesznie otworzył bramę, przepuszczając wszystkich do wnętrza i przepraszając za chwilowe opóźnienie.

Oficer zrobił mu surową uwagę, że nie wolno spać przy bramie i że źle spełnia swe obowiązki, poczem rozkazał zameldować o swoim przybyciu naczelnikowi więzienia i przeprowadzić się do kancelaryi.

Wrota więzienia zapadły się z trzaskiem.

## IV. Na Pawiaku.

W głębi więzienia policyanci znaleźli się na niewielkim podwórzu wewnętrznym, otoczonym ze wszystkich stron gmachami więziennymi i murami. Rozsiadli się swobodnie na ganku, w oczekiwaniu na kareta więzienną; rotmistrz udał się do kancelaryi.

Policyanci zachowywali się tak naturalnie z taką nieprzymuszoną prostotą, że nie mogli wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia.

Jedni z nich drzemali, drudzy mieli tak obojętne fizjonomie, że nie zachęcali do rozpoczęcia z nimi rozmowy dozorców więziennych, którzy przez ciekawość wyszli na ganek.

Gdy jeden z dozorców zaczął coś mówić, starszy policyant zrobił wylekłą minę i uchylił się od rozmowy pod pretekstem, że naczelnik ich, rotmistrz, jest człowiekiem bardzo surowym i srogim.

Następnie starszy policyant przeszedł się kilka razy po podwórku, zajrzał do okien kordegardy i przekonał się, że żandarmerya i konwój pogrążeni są w śnie mocnym.

W milczeniu, usiadłszy na stopniu ganku, ziewnął słodko i, zwiesiwszy głowę na kolana, zaczął drzemać...

Ciemna bezkسیężycowa noc sprzyjała planom, całe niebo pokrywały chmury ołowiane.

Wszystko zależało teraz od barona Budberga. Czy zdoła on otrzymać prędko uwiezionych towarzyszy? Czy nie wzbudzi w czemkolwiek podejrzenia?

Pod maską spokoju i zupełnej obojętności względem tego, co ich otaczało, sześciu policyantów wsłuchiwało się pilnie, co się dzieje wewnątrz więzienia tam, za gankiem w kancelaryi.

Chwytali najmniejszy szmer, poruszenie, oczekując z bijącym sercem, czy nie ozwie się sygnał rotmistrza żandarmów, żeby natychmiast rzucić się na pomoc z rewolwerami w rękach i ogniem torować drogę sobie i swym uwiezionym towarzyszom.

Ciąg dalszy nastąpi.